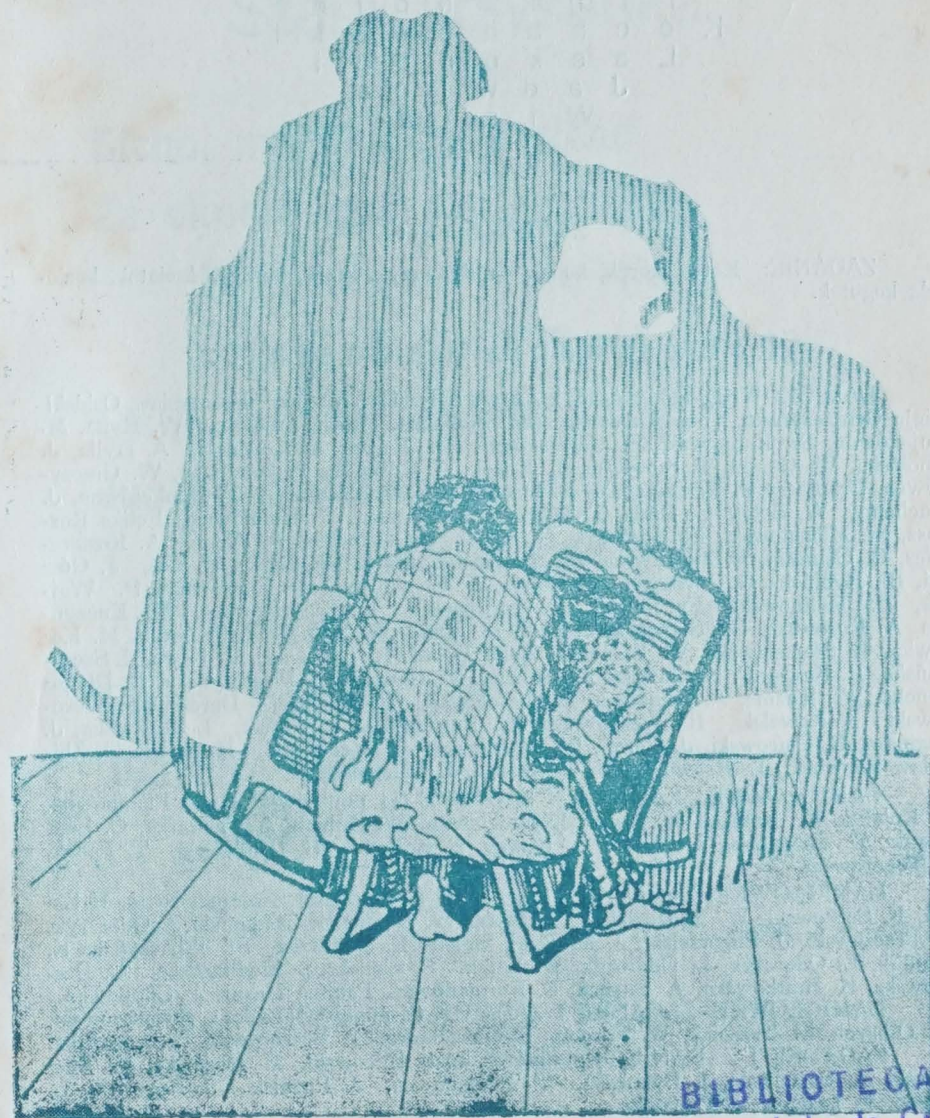


VI-6

NASZA SZKOLA

MIESIĘCZNIK DLA MŁODZIEŻY I DZIECI.



BIBLIOTECA
da Sociedade de Cristo
Curitiba PR

Rozwiązanie z Numeru 4 (50):

LAMIGŁÓWKA: Kto
Tak
Okno

LAMIGŁÓWKA:

K
s o k
O j c ó w
K u c h a r z
F i n l a n d j a
K o c h a n o w s k i
L a s k o n o g i
J a d w i g a
W i s ł a
O k o
i

ZAGADKA: Kot

ZADANIE: Kotelek, korek, konik, królik, krzyk, krzak, koszyk, kwiatek, koziołek, kogutek.

Rozwiązania nadesłali:

LAMIGŁÓWKĘ, SZARADĘ I ZAGADKĘ (12 punktów) Mieczysław Osiński, Ligja Gruszczyńska, Anna Nabożna, Ant. Nabożna, Róża Bajerska, W. Hylla, M. Pujakówna, Sz. Kalinowski, H. Górniakówna, B. Henkes, A. Krasieński, A. Hylla, J. Choińska, W. Górski, T. Kowalska, T. Kucek, A. Kubis, L. Piekarczówna, W. Graczykówna, Fr. Piłówna, L. Dunajska, L. Decówna, E. Piekarczówna, T. Henkesówna, J. Kuchenny, W. Sotek, B. Duda, T. Duda, H. Kuhnówna, M. Kuhnówna, Feliks Rozkosz, St. Michałowski, Fl. Stańczyk, G. Rybka, St. Dziadzio, A. Wenc, A. Kostrowicz, C. Celińska, E. Ziółkowska, St. Sierpińska, Marja Kłosińska, C. Leś, J. Górski, Bł. Rybiński, G. Szymczyk, F. Górski, K. Cionkówna, G. Surkówna, P. Wójcik, P. Malinowski, Fr. Staroń, P. Stanisławski, I. Szostakowska, M. Kuczyńska, A. Kurowska, Br. Stańczyk, J. Król, M. Kawa, W. Wenc, M. Stańczyk, M. Kotowicz, E. Stanisławska, W. Stańczyk, Anna Dybaś, K. Kotowicz, M. Kawa, H. Szczepańska, R. Kawa, F. Nasiłowska, St. Kuźma, M. Gauze, M. Piaszczyńska, L. Diugokencka, Wł. Kuźma, A. Tomaszon, L. Wesołowski, K. Gauze, M. Deresz, F. Wesołowski, A. Kowalski, R. Wesołowska, H. Nasiłowska, A. Cizak, L. Kowalska, J. Zagińska, B. Ostrowski, J. Boroń, W. Kędzierska, B. Kędzierski, R. Hawiński, Zbigniew Rzewuski, L. Rzewuska, B. Jankowski, Z. Wierzchoń.

LAMIGŁÓWKĘ, ZADANIE I ZAGADKĘ (11 punktów) Janka Flenikówna, B. Kotelak, Fr. Kollross, E. Lis, J. Kominkiewicz, W. Kubiak, A. Pieczarka, C. Landowski, K. Karasińska, L. Flenik, L. Reway, E. Kollross, R. Landowski, T. Panek, J. Toporowski.

LAMIGŁÓWKĘ, ZAGADKĘ I ZADANIE (7 punktów) Szczepan Nizio, H. Żerek, F. Ścisłewski, W. Nędzusiak, E. Trzaska, W. Kempa, Z. Bednarski, A. Odoreczyk, K. Preczewski, J. Pogorzelski, J. Mikulski, Helena Kasperowska, St. Tabaczyńska, K. Hajduk, Ł. Odoreczyk, L. Odoreczyk, W. Żerek, S. Ślędak, L. Modłkowska, C. Bratkowska, K. Bratkowska, A. Sochań, Z. Furmanówna, Paulina Mazur, J. Chojnacka.

LAMIGŁÓWKĘ, ZAGADKĘ I ZADANIE (7 punktów): Ludwik Świerdzowski, W. Olbrych, M. Trzeciak, W. Furman, B. Mażuchowski, A. Boszczowski, H. Domańska.

ZAGADKĘ I ZADANIE (6 punktów): Józef Bykowski, M. Rogalska, Fr. Sosnowski, A. Sosnowski, J. Bykowski, M. Róziakówna, J. Rogalski, J. Rogowski, L. Barski, F. Lempek, J. Lipiarski.

ZAGADKĘ (1 punkt) M. Barańska, R. Zuchowska.

NASZA SZKÓŁKA

ILUSTROWANY MIESIĘCZNIK DLA MŁODZIEŻY I DZIECI.

Stara kołysanka.

Cicho, malutki, bądź cicho,
Za oknem czai się »licho«.

W kąciuku ukrył się lęk,

Czyha na płacz Twój, lub jęk.

Cicho malutki, bądź cicho,

Już do drzwi drapie się »licho«,

»Licho« jest czarne, jak noc,

Strachów ze sobą ma moc.

Cicho, malutki, bądź cicho,

Wkrótce odejdzie stąd »licho«,

Niech tylko rozbłyśnie świat,

Cyt, więc, maleńki mój, cyt.

Wł. Radomski.



MACIEK I-szy, KRÓL POWIETRZA.

(Skrót dla »Naszej Szkołki« z książki K. A. Czyżowskiego.)

5) (Ciąg dalszy)

Od czasu do czasu przez dziurę ku dołowi widzieli ziemię, ocienioną zwalami ciężkich chmur. Przepłynęli nad szerokim Dunajem. Nagle oba aparaty przechyliły się w prawo, jeden po drugim, jakby zalane falą i od wschodu przewiał po nich słonawy mokry wiatr.

— Ho, ho, coś się w powietrzu majstruje — zahuczał w tubę Bartek.

Istotnie coś się mogło majstrować w powietrzu: Nadchodziła wielka burza, którą dzielnie przetrzymali. Stracili z oczu tylko samolot »Jaskółkę« i więcej jej już w swej podróży nie ujrzeli.

Gdy straszna burza przeszła, Maciek nie wiedział, gdzie się znajdują. Znalezli się w jakiejś sferze tak gorącej i dziwnej, że sam Maciek nie wiedział, co to jest. Zdumiony spojrzął poza siebie co robi Bartek i omal śmiech pusty go nie ogarnął.

Oto pan kaprał siedział skulony jak trusia i zasłaniał usta czapką, a oddychał jak skazaniec duszony. Oczy jego były czerwone i z takim przerażeniem patrzyły przed siebie w dół i ku górze, że wreszcie Maciek, chcąc go pocieszyć, krzyknął do tuby:

— Cóż tam, kapralu? Jedziemy na księżyc?

— Zdaje się, żeśmy już dawno minęli ziemię. I co my tam będziemy robili?

— A gdzie?

— Ano na tym księżycu. Przecież tam mogą być bolszewicy.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Maciek — Przecież księżyc jest wymarły.

— No, to jeszcze gorzej. Ładnie będziemy wyglądali!

— Ależ, Bartku, my jesteśmy zaledwie 4000 m. nad ziemią.

— Pułkownik chyba żartuje! Za ledwie 4000 m. Czy to jest głupstwo?!

— W porównaniu do drogi na księżyc to całkiem małątko.

— A jak daleko jest jeszcze na księżyc?

— Jeszcze z kilkadziesiąt milionów kilometrów — pochwalil się Maciek swoją wiedzą szkolną.

— Czy naprawdę?

— Możesz mi wierzyć.

— No, jak tak, to spokojniejszy. Tylko że oddychać nie mogę.

— Coprawda, powietrze jest strasznie suche i gorące.

— Oj, to, to, a możeby tak gardło przepłókać?

— A czem?

— Ej, znajdzie się.

W tej chwili Maciek poczuł, że głód mu zaczyna dokuczać, a nade wszystko, że pali go pragnienie.

Gdy więc Bartek zakrzętnął się koło paczek i podał mu przez

barjerkę flaszkę lekkiego wina i kawał sera, Maciek, zaciskając prawą rękę na sterze, lewą przyjął w pierw wino, a potem jedzenie i przez pewien czas nie namysławiając się nad niczem, poświęcił się wyłącznie jedzeniu.

Po zaspokojonym głodzie jednak wystąpiło na wierzch zmęczenie.

Ten sam objaw ogarnął i Bartka, bo zameldował przez tubę:

— Pułkowniku, jestem tak zmęczony tą naszą walką z burzą, że chyba zdrzemną się trochę. Niech więc pułkownik teraz sam maszynę prowadzi!

— Dobrze, kapralu. A przymocuj się mocno gurtami, bo mozesz wypaść, — odpowiedział Maciek, nie zważając na to, że pan kaprał jużby się nowym jego triumfem chętnie z nim podzielił.

Bartek zatem przywiązał się gurtami i usnął prawie w tej samej chwili.

Tymczasem Maciek zacisnął zęby i próbował opanować swoją senność.

Po takim długim jednak i spokojnym (bądź co bądź) locie cała poprzednia szarpanina i napięcie tak nerwów jak i mięśni zaczęły się dopominać o swoje prawa.

Przytem powietrze było tak suche i duszne, że i oczy same kleiły się do snu.

Ale przy pierwszym lekkim zamroczeniu aparat szarpnął się znowu, Maciek całą siłą woli zebrał się w sobie i postanowił nie dać się szaleńczej pokusie.

Lecz zar powietrza tak dozna wyzał już oczy, że spuchnięte powieki ledwo się dały utrzymać.

Na dobitkę złego, pragnienie znowu poczęło męczyć Macieka, a nie chciał pić wina, raz aby nie budzić Bartka, a następn e, bojąc się upić.

Lecz powietrze z każdą chwilą stawało się nieznośnym i Maciek poczuł, jak na pierś kładzie mu się jakiś szalony ciężar jakby, miast tlenem, oddychał pyłem piasku rozżarzonym.

Usta mu spierzchły zupełnie, a oblizane pękały natychmiast, piekły i bolały ogromnie.

Zegarek wskazywał już pół godziny po trzeciej i coraz większy niepokój zaczął się wkradać do zmęczonej dusznością, żarem i trudem chłopięcej piersi.

Według busoli kierunek lotu był południowo-zachodni, a Maciek czując, że siły go powoli opuszczają, postanowił zdać sobie dokładnie sprawę, gdzie się mniej więcej znajduje i ostatecznie wyładować.

Nie mogąc w żaden sposób oprzeć się orkanowi, który teraz dał prawie prosto ku południowi, Maciek zmniejszył szybkość chcąc doprowadzić stopniowo do zamknięcia motoru, gdyby to się nie okazało niebezpiecznym.

Jednego się obawiał a to niestety każdej chwili zdawało się coraz pewniejszym.

Oto, mniej więcej obliczając według mapy, busoli i kierunku

jazdy oraz jej szybkości, przechodzącej, dzięki wichrowi, 250 km. na godzinę, wynikało że obecnie znajdują się już z drugiej strony morza Śródziemnego, nad lądem Afryki.

Z wiadomości swoich szkolnych przypomniał sobie Maciek, że w tej części świata wieją silne wiatry północno-wschodnie, zwane pasatami, i oto teraz wszystko razem tak się w jego głowie zebrało, że jakkolwiek zdawało się to wprost fantazją, był coraz pewniejszy, że go przecucie nie myli.

Tymczasem rezultat zahamowania pracy motoru był już widoczny, lot Orła coraz bardziej się obniżał i teraz wysokomierz wskazywał poniżej 1000 m. Lecz równocześnie z obniżeniem się lotu powietrze zdawało się coraz trudniejszym do zniesienia. Jasny pył z warstw górnych zmienił się poprostu na pasek rozżarzony, tamujący oddech i kłujący w oczy jak szpilki.

Maciek, przechylając się lekko, spojrzał ku dołowi.

Narazie nie mógł się zorientować, co ten widok, który ujrzał, znaczy.

Pod nim rozciągała się jednostajna żółta płaszczyna, po której miotaly się jakieś szaro żółte cienie, podobne do trąb olbrzymich i wirów, odrywających się od spodu.

Nigdzie skrawka zieleni, nigdzie drzewka ani rzeczki, — choć ta żółta płaszczyna zdawała się być ziemią napewno.

Motor ustał zupełnie i Maciek, znów walcząc z falami zmienego w tym pasie wiatru, starał się aparat jeszcze niżej sprowadzić.

Nagle, na wysokości 300 m, jedna z trąb oderwanych od ziemi wzniosła się ponad aparat i z wysokości kilkudziesięciu metrów runęła chmurą rozżarzonego piasku na Orła i obu jego pasażerów.

Wicher załomotał o skrzydła i ogon. Czujny Maciek nasekundę przed wypadkiem puścił już motor w ruch i Orzeł po spadku do 250 m, począł się znowu wznosić.

Ale kilka tych chwil spadku wystarczyło, by rozpalone jak ogień powietrze, zmieszane z piaskiem, przeaiknęło wszystkie pory ciała. Pot kroplisty wystąpił na czoło Maćka, ogarnęło go dziwne omdlenie, oparł się bezwładnie o poręcz siedzenia, a ręka zaciskająca się na sterze, zdawało się lada chwila odmówi posłuszeństwa.

Na szczęście, szalony żar i uderzenie trąby powietrznej obużyły Bartka.

Przerażony kapral spojrzawszy wokół siebie i nie rozumiejąc co się dzieje ryknął do tuby.

— Jezu! Pułkowniku! Gdzie my jesteśmy?!

Nie odebrał żadnej odpowiedzi.

Nie zwlekając i nie pytając po raz drugi odwiązał w jednej chwili gurdy i zaciskając ręce na poręczach oparcia, zaglądnął w twarz Maćka.

Maciek, błąd jak ściana, z przymkniętymi szklanymi oczyma, siedział nieruchomo; przez omdlenie jednak nawet ręka sztywne nie opadała ze steru, tak że aparat, pracując już teraz z całą siłą motoru, wznosi się w kierunku orkanu ku górze.

Rozumiejąc nieszczęście, Bartek, choć się narażał na wypadnięcie,

cie, sięgnął po flaszkę z winem i przytknął ją do ust Maćka, jednocześnie drugą ręką przytrzymując (na wszelki wypadek) jego rękę na sterze.

Maciek usta otworzył i pił łapczywie dobrze podgrzany w gorącym powietrzu napój.

W pewnej chwili otworzył oczy i od tyłu godzin zaprawiony do niebezpiecznej walki, zaraz oprzytomniał i pochylił się nad sterem.

Tymczasem Bartek nacierał mu czoło i skronie winem, w tej chwili parującym. Chwilowa jednak wilgoć i w porównaniu z gorącym wichrem pewien chłód płynu przyniosły Maćkowi ulgę, — tem bardziej że Orzeł, jakby czując czyhającą od dołu śmierć w grząskim piasku, walił wciąż pod ostrym kątem ku górze. Wprawdzie w górnych warstwach żar powietrza nie słabł, było w niem jednak znacznie mniej piasku duszącego i orkan dał jednostajniej.

W ten sposób dostali się z powrotem na wysokość 2000 m.

Bartek, widząc, że bohaterski chłopak już oprzytomniał, usiadł z powrotem na swoim miejscu i zapytał przez tubę:

— Pułkowniku najdroższy, gdzie my jesteśmy.

— Zdaje się, że nad pustynią Saharą.

— Nad Saharą? O Jezu! Cóż my teraz zrobimy?

— Nie wiem jeszcze sam, co mamy robić.

— Zawrócić nie można?

— Połamalibyśmy skrzydła, zanimbyśmy ujechali 10 metrów.

— No, to coż będzie?

— Wylądować też nie można.

— Czemu?

— W czasie burzy? na pustyni? Oj, kapralu, pytasz się bez namysłu. Toż to pewna śmierć.

— Tak śmierć i tak śmierć! Więc co będzie?

— Ja myślę, żebyśmy razem z wichrem dalej uciekali, a im prędzej, tem lepiej.

— Dokądże ucieknijemy?

— Wpoprzek. Może trafimy na jaką oazę.

— Ano, to grzmijmy wprost przed siebie! Jak nas Bóg dotąd utrzymał, to może i teraz jakoś ocali.

— Ale już mało benzyny w rezerwuarze. Boję się, byśmy nie ustali.

— To czekaj pułkowniku, ja doleję.

I zanim Maciek zdążył zaprotestować, Bartek już dał nura pod siedzenie, a podłazłszy popod karabinem maszynowym, nawpół wiżąc poza aparatem, z dużej bani przelewał benzynę do rezerwuaru.

Maciek, cierpiąc z obawy o szaleńca, ani jednym słowem nie przeszkodził mu, bojąc się, by ten równowagi nie stracił. Podziw jednak dla tak bajecznie odważnego kaprala zanotował się w nim na zawsze.

Po kilku chwilach pan kapral siedział już na swem miejscu i telefonował:

— Teraz grzmij, pułkowniku, co sił! Było, nie było, damy sobie radę.

— Ale daj, Bartku, przedtem co zjeść i popić, bo mi pragnienie i głód kiszki skręcają.

— Ho, ho, pan kapral na niańkę awansował! Ano trudno, — jak się ma takiego smarkatego pułkownika, to się musi pokutować.

Burcząc dalej pod nosem, Bartek karmił Maćka i poił go kwasem winem.

— A widzisz, pułkowniku, jak nam się przydały bukareszteńskie owacje i prezenty!

A potem dwóch junaków, nie zważając na straszny wicher, duszący ich zarem, gnało wprost przed siebie, nie wiedząc, co ich czeka na progu każdej, długiej teraz jak wieczność godziny.

Maciek, pamiętając jednak, że każda kropla benzyny jest drogą, zredukował gaz do minimum, wykorzystując znakomicie siłę orkanu.

(Dalszy ciąg nastąpi)

PRANIE.



Raz Wandeczka mała
laleczkę dostała,
laleczkę śliczniutką!
Toż to radość cała!

Sąsiadeczka Hania
laleczki nie miała,
laleczki śliczniutkiej —
I długo płakała.

Kup mi, Maćku, lale
taką, jak Wandeczki.
Będę ją stroiła,
szyła sukieneczki.

Więc i Hanka mała
laleczkę dostała,
laleczkę śliczniutką!
Oj, — radość niemała!

Od tej pory nasze
obie sąsiadeczki
chciały mieć czyściutkie
swe drogie laleczki.

I Wandeczka mała
I Haneczka mała
pranie urządzała,
Pranie sukieneczek!
Toż to radość cała!

S

JAK JEDEN PIES 40 LUDZIOM ŻYCIE URATOWAŁ.

Jest kraj w Europie, który się Szwajcarią nazywa. W tym kraju są góry tak wysokie, że obłoki i chmury pod wierzchołkami ich idą. Na wierzchołkach tych leżą wiekuiste śniegi. W górach tych w śnieżnych zawiejach nieraz gna podróżni. Na jednej takiej wysokiej górze, zwanej górą św. Bernarda, stoi klasztor, w którym mieszkają miłośnicy zakonnicy — na to tylko, aby zbłąkanych podróżnych przyjmować do gospody i ratować zmarzłych po drodze. A do szukania zmarzłych i śniegiem zasypanych ludzi trzymają sobie psy.

Codziennie rano wysyłają owi zakonnicy dwa takie psy, przywiązawszy jednemu do szyi ciepły płaszcz, a drugiemu koszyk z pożywieniem.

I te litościwe zwierzęta naprowadzają zbłąkanych i osłabio-

nych podróżnych na drogę do klasztoru, odgrzebując zasypanych śniegiem i własnym ciałem ogrzewają znalezionych, a wyciem dają znać swym panom, aby przyszli ratować nieszczęśliwych.

Przed kilkunastu laty szło drogą przez górę św. Bernarda kilku podróżnych, a z nimi kobieta z dwojgiem dzieci. Straszliwa zaważa śniegu zasypała drogę, a nieszczęsna matka, zbłądziwszy została z dziećmi swymi w śniegu. I tak biedna matka skostniała z zimna z małym dzieciąciem, a starszy chłopczyk leżał ledwie żywy.

Aż tu nadszedł taki pies, co zwietrył podróżnych i wygrzebał ich ze śniegu i ogrzewał ich sam sobą, ale nadaremnie. Chłopczyk tylko oprzytomniał, a zwierzę uradowany tak mu się lasił, tak mu się przymilał, że go zmusił wsiąść na swój grzbiet i przyniósł do drzwi klasztoru. A skoro w klasztorze chłopczyka odebrali, pocziwne psisko pótę wyło i wracało się na drogę, skąd przyszło, że zakonnicy zmiarkowali czego chce, więc poszli za nim do pozostałej matki i małego dzieciątka. Ale już na żaden sposób tych dwojga dotrzeć nie mogli.

Nazwisko tego osobliwego psa jest Bary. Przeszło czterdziestu ludziom życie uratował. Już teraz sam nie żyje.

Obywatele miasta Bern kazali skórę tego psa wypchać i pozostawić w muzeum.

Wybrał i przerobił dla „Naszej Szkołki“

W. Gr. Kowalski.



Szkoła Polska w Pavão.

ELWIRA KOROTYŃSKA.

BABA JAGA.

Baśń fantastyczna w jednym akcie.

(Dokończenie)

CZAROWNICA. (siedzi i myśli). Straszny mam na nią apetyt! ale tak bez powodu nie wypada! Przeciem jaśnie wielmożna Baba Jaga z Czarowniczej Nory... Muszę coś obmyśleć i jutro z nią skończyć! Co tu robić? (wskakuje i klaszcze w ręce). Mam! mam! na nią sposób! nie ujdzie mi! Nie ujdzie! Cha! cha! cha!

JAGUSIA. (budzi się przerażona). Co się stało?

CZAROWNICA. Zaraz się dowiesz! (skacze z radości, po chwili mówi łagodnie). Wstań moje dziecko.

JAGUSIA. (zdziwiona łagodnością). W tej chwili, proszę pani (wstaje szybko i ubiera się).

CZAROWNICA. Pójdiesz zaraz do mojej siostry Grenulji i poprosisz ją o szkatułkę, o której ona wie; dostaniesz tam dobre śniadanie i wrócisz do domu.

JAGUSIA. Ale proszę pani, nie wiem, gdzie mieszka pani siostra?

CZAROWNICA. Pójdiesz prosto, potem na lewo, potem na prawo, potem znów prosto i zobaczysz zamek — tam mieszka Grenulja.

JAGUSIA. Dobrze, proszę pani, już idę...

CZAROWNICA. Idź, idź moje dziecko...

JAGUSIA. (wychodząc). Jakaż ona dziś dobra! Co jej się stało? Gotowam ją polubić! (wychodzi).

CZAROWNICA. (wyjrzawszy). Chil! Chil! już się jej pozbyłam! Nie wróci tu napewno, po pieczyście pojedę na miotle do Grenulji! Chil! chil! (tańczy i w ręce klaszcze).

Scena trzecia.

JAGUSIA. (idzie śpiewając).

Ej ta dana! ta dana!

Dolaż moja, kochana

GŁOS. Dokąd panienka tak śpieszy?

JAGUSIA. (odwraca się). O, rety! ktoś mówi... (widzi kruka) Idę do Grenulji, siostry mej pani, która jest czarownica, mam przynieść szkatułkę.

KRUK. Nieszczęsna! Wysłała Cię ona

na zaturę! Ani jeden człowiek żywy stamtąd nie wrócił! Ale dano mi z nieba rozkaz, aby cię ratować, dziewczeczko. Słuchaj Jagusi! Gdy będziesz nad brzegiem strumienia powiedz mu: — Prześliczny strumieniu, pozwól mi przejść przez twe srebrzyste fale! A teraz weź tę butelkę z oliwą, chleb i szcztokę — przydadzą ci się.

Kiedy podejdziesz do wrót żelaznych zamku, posmaruj je oliwą, a otworzą się same.

Ogromny pies rzuci się na ciebie, szczekając — rzuć mu chleb, a odejdzie. Idź do kuchni, zobaczysz tam kucharkę, która językiem będzie czyściła blacę kuchenną. Daj jej szcztokę. Wejź potem do pokoju Grenulji, która śpi o tej porze i weź z szafy szkatułkę. A potem uciekaj, co sił starczy. Jeśli mnie postuchasz, nie zginiesz.

JAGUSIA. Dziękuję ci, miły kruk! zastosuję się do twojej rady! (odchodzi).

(Kurtyna na chwilę się opuszcza).

(Po odstonieniu).

JAGUSIA. (stoi i mówi). Pocziwy kruk! Jemu to zawdzięczam, że powróciłam szczęśliwie i wypełniłam żądanie swej pani.

Bo, kiedy znalazłam się nad strumieniem rzekłam mu, jak kruk przykazał: — piękny strumieniu, pozwól mi przejść przez twe srebrzyste wody! — A strumień mi odpowiedział: — Przejdź miła dziewczeczko!

No, i przeszłam szczęśliwie.

A kiedy stanęłam przed wrotami, posmarowałam je oliwą i same się otworzyły, przepuszczając mnie do wnętrza.

Lecz na podwórzu straszny pies rzucił się na mnie, kły miał potworne, a z pyska zda się ogień buchał. Przywitał mnie szczekaniem, jak grom głośnie, lecz kiedy mu rzuciłam bochenek chleba, oddalił się natychmiast. Wreszcie dopadłam do kuchni i tam ujrzałam kucharkę, która językiem czyściła blacę kuchenną; dałam jej szcztokę, a wzamian za to wskazała mi komnatę; w której spała Grenulja.

Wpadłam tam, schwyciłam szkatułkę i rzuciłam się do ucieczki. Gdy wtem przebudziła się i krzyknęła: — Hej! kto wziął moją szkatułkę? Łapać! Kucharko! łap tę dziewczynę!

Lecz kucharka odrzekła: — Ani myślę! Ona dała mi szcztokę do czyszczenia blachy, a ty mi językiem lizać kazałaś! Wtedy Grenulja zwróciła się do psa: — Psiel złap i pożryj tę złodziejkę! A pies jej na to odpowiedział: — Ani myślę! pani morzy mię głodem, a ona dała mi chleba!

Grenulja w strasznej złości zwróciła się do wrót: — Wrota! nie puściec jej! Lecz wrota: — Ani myślimy! Pani pozwalasz, abyśmy były rdzą pokryte, a ona posmarowała nas oliwą!

W końcu Grenulja, widząc, że nikt jej nie słucha, pobiegła nad strumień, chcąc sama siebie dognać.

Zwróciła się do strumienia: Hej ty brudny strumieniu — zawołała — rozstap się.

A strumień zwdniczo jej odpowiedział: — Chodź! chodź! — i Grenulja wstąpiła w jego wody, a on jej już nie wypuścił ze swych mokrych, zimnych ramion.

I słyszałam długo jeszcze za sobą jej straszny głos, który dotąd mi dźwięczy w uszach: — Ach! ach! tonę! ach! Widzę czarownicę! Wygląda w stronę skądide, a to się zdziwi, że żyję. (podchodzi do Baby Jagi).

CZAROWNICA. Co to? czy mnie oczy mylą? Wróciła moja pieczeń? wróciła żywiuteńka i zdrowa? Co to?

JAGUSIA. Oto szkatułka, przynoszę ją, jak to mi pani kazała.

CZAROWNICA. (udając spokój). Dobrze! dobrze! To jakaś czarodziejska sztuczka! Ale zobaczmy! Lepiej śmiać się na końcu, niż na początku! Słuchaj! Mam trzy koguty! Czerwonego, białego i czarnego! Dziś w nocy, kiedy zapieje z nich który, musisz rozpoznać ich głosy. Jeśli nie zgadniesz, pożrę cię natychmiast.

JAGUSIA. (do siebie). Teraz to już napewno zginę! Matusz ratuj mnie!

KRUK. (stojąc za nią). Nie bój się, Jagusiu. Raz kra — to biały, dwa razy kra to czerwony, a trzy razy kra to czarny, rozumiesz?

JAGUSIA. Rozumiem. O mój poczyty kuku!

CZAROWNICA. Kładź się koło mnie! (Bije północ, słychać pianie koguta).

KOGUT. Kukuryku! kukuryku!
CZAROWNICA. Który pieje? Mów!
KRUK. Kra!
JAGUSIA. Biały!

CZAROWNICA. Śpij. (w godzinę potem znów budzi).

KOGUT. Kukuryku! kukuryku!

KRUK. Kra! kra!

CZAROWNICA. Mów który?

JAGUSIA. Czerwony!

CZAROWNICA. (zła) Śpij! (znów budzi).

KOGUT. Kukuryku! kukuryku!

KRUK. Kra! kra! kra!

JAGUSIA. (z radością) Czarny!

CZAROWNICA. Wszystko jedno! Nie ci to nie pomoże! I tak cię zjem, bo jestem strasznie głodna! (rzuca się na Jagusię, ta broni się, wreszcie odpycha czarownicę, — kruk idzie jej z pomocą, czarownica pada, kruk wyrwa jej dwa czarodziejskie kły, w których była jej moc. Leży bezwładna na ziemi, tymczasem Jagusia ucieka).

CZAROWNICA. (leżąc na ziemi). Moje kły! Moje dwa kły! Cała moja moc przepada! Bądź przeklęty kuku!

KRUK. Kpię sobie z twych przekleństw! (odchodzi, tańcząc i podskakując).

JAGUSIA. (idzie). Dzięki ci Boże! dzięki za zesłanie mi z niebios ratunkul! Dzięki ci, miłosierny kuku!

KRUK. Żegnaj mi Jagusiu.

JAGUSIA. Bądź zawsze tak litościwy! (idzie i dziwi się)! Co to znaczy? Wiem, w którą idę stronę, znam swój domek omszały, swój mały ogródek, a jednak go nie widzę! Przedemną jakiś pałac wspaniały, a ku mnie idzie taki cudny młodzieniec!

KRÓLEWICZ. (wyciąga ku niej ręce). Jesteś! Jesteś nareszcie! oczekiwana ukochana dziewczynko!... czekałem na cię oddawna! Dziś jeszcze będzie nasze wesele... Pójdź do mego pałacu!

JAGUSIA. Jakóż wejść do twego pałacu? Świtka na mnie uboga i szara, a zgrzebna moja koszula... Jakżeż żoną twoją, ja biedna sierotka zostanę?

KRÓLEWICZ. Droższą mi jesteś nad brylanty i złoto... Jagusiu sierotko. A twe biedne szatki miłsze mi nad złotogłowy! Cnota twoja błyszczyci mi drogimi kamieniami, a cierpienia twoje wrubiny cię ustroiły... Pójdź!

JAGUSIA. (podaje rękę królewiczo- wi). Dzięki ci, żeś na biedną wejrzał sierotę! Idę... (Ukazuje się jasna postać jej matki i błogosławi, mówiąc). Idź

Jagusiu! Niech szczęście będzie twoim udziałem! Smutek i łzy niech zdala od ciebie będą! Idź, Jagusiu, Idź (znika). (Taniec baletowy na zakończenie)

K O N I E C .



Kochane dzieci!

Trudno mi jakoś oderwać się od tegorocznej, wielkiej uroczystości, stułetniej rocznicy Cudownego Medalika, więc opowiem Wam jeszcze coś o tej dobrej Matce Niebieskiej, aby zapalić w Waszych serduszkach wielką i serdeczną miłość ku tej dobrej Matuchnie.

Otóż, gdy byłam jeszcze w domu rodzicielskim i miałam mniej więcej lat 10, miałam przyjaciółkę Jadwinę, w tym samym wieku co ja. Naraz ku mojemu wielkiemu smutkowi moja droga Jadwinia zachorowała. Dostała silnej gorączki którą lekarze nazywali gastryczną. Choroba szybko się wzmagała, i po trzech tygodniach Jadwinia straciła przytomność i mowę, chociaż bardzo zamożni i kochający ją rodzice nie szczędzili żadnego środka ratunku, sprowadzając lekarza jednego po drugim, nawet z daleka. Wszystkie jednak środki lekarskie nie pomagały, uważano dziewczynkę za straconą.

Miejscowy Ks. Proboszcz zaopatrzył ją sw. Sakramentami, bo przypisywano jej już tylko kilka godzin życia.

Wtem ciężko strapionej matce przyszła myśl o Cudownym Medaliku, o którym wiele słyszała. Postarano się natychmiast o takowy, włożono go dziewczęciu i zaczęto odmawiać »Zdrowaś Marja«. Ja również gorąco się modliłam o zdrowie mej ukochanej Jadwini. — Zaledwie skończono trzy »Zdrowaś«, chora uczyniła jakiś nagły ruch a nieodstępujący lekarz stwierdził, że niebezpieczeństwo minęło.

Zaczęto jeszcze nowennę do Najsw. Panny, której od następnego dnia Jadwinia sama wtórowała, a z końcem takowej odzyskała już zupełnie zdrowie.

Radości rodziców, jako i mojej nie było końca.

Lekarze zaś i inne osoby wiarygodne oświadczyły, że uzdrowienie było cudowne, dokonane przez Cudowny Medalik

Niech Wam ten przykład, Drogie Dzieci, przemówi do serc, niech Wasze serduszka przykuje na zawsze i na wieki do tego nie- skończone dobro serca naszej Niebieskiej Matki, abyście w każdej Waszej potrzebie do Niej z ufnością się uciekali, a i Wam przyjdzie z pewną pomocą.

Proszę tę dobrą Matkę o błogosławieństwo dla wszystkich polskich dzieci w Brazylii.

Szczerze Wam życzliwa Siostra N. N.



Kącik Harcerski.

Moja pierwsza zbiórka zastępu »Lwów«.

Napisał »Milczący Lew«, zastępowy
i przybooczny 1 Drużyny w Kurytybie.

Oddawna, już od chwili, kiedy zostałem harcerzem, chodziłem z tą myślą, aby — jak to się mówi — na własną rękę założyć zastęp harcerzy. — Z początku wątpiłem, czy kiedykolwiek uda mi się moje zamiary urzeczywistnić.

Nadeszły wakacje. — Aby wykorzystać tak drogi i miły dla mnie czas, wyjechałem na trzymiesięczny pobyt do rodziców na kolonję Z góry wiedziałem, że tam właśnie na kolonji mam ogromne pole do działania.

Siedziałem spokojnie w domu. Czas szybko upływał jak potok, a ja trwałem ciągle w zamiarach, nie mając dość odwagi projektu swego w czyn zamienić. — Wiedziałem, że taka okazja nie często się zdarza, a »materiału« do zbudowania zastępu było pod dostatkiem. Ciągłe jednak nabitą miałem głowę planami, czegoś wyczekiwałem, wyglądałem, sam nie wiedząc czego. — I nie próżne były moje rozmyślenia, bo przecież założyć zastęp, to nie wielkiego, ale poprowadzić go, dać mu właściwy kierunek, samemu pokonać początkowe, najrozmaitsze przeszkody, by wreszcie młody zastęp mógł dźwignąć się i rozwijać się jako tako, — wymagało dużej praktyki, orjentacji i zaradności.

Wiedząc oczywiście, że tych przymiotów nie posiadam, żyłem w obawie że moje plany nie dadzą się zrealizować. — Ale z drugiej strony myślałem sobie, że nie warto być takim pesymistą, że trzeba popróbować i nie okazać swego niedołęstwa.

Wreszcie w dniu 20 stycznia 1928r zdobyłem się na odwagę. Zawiadomiłem kilku chłopców, by przybyli do mnie o godz. 2-ej, zatrzymując w tajemnicy cel. Z tajemnicy tej chłopcy wyciągali najrozmaitsze domysły, obawiali się czegoś niesamowitego, ale koniecznie końców ciekawość zwyciężyła obawę i wszyscy śmiało stawili się na czas.

Ja oczywiście, by nie pokpić sprawy, odpowiednio przygotowałem się na ich przyjęcie, bez przyborów, jakie mogłyby wzbudzić u chłopców obawę, ale z umiejętnie i dobrze ułożonym planem całej zbiórki.

Miałem już opracowany uprzednio obszerny artykuł na temat »Co to jest harcerstwo«. Wyuczyłem się całości na pamięć, by nie nudzić chłopców czytaniem. Zawsze to lepsze robi wrażenie, gdy się mówi, a nie czyta.

Stawiłem się na umówioną godzinę i spostrzegłem zebranych pod drzewem kilku chłopców, którzy żywo o czemś rozmawiali. — Gdy podszedłem do nich blisko — umilkli nagle. — Powstała męcząca cisza. Chłopcy z nieufnością patrzyli na mnie. — W ich oczach wyczytałem zdziwienie, jakie wywołał mój ubiór i krótkie harcerskie spodeńki.

Siedliśmy w kółko. Rozłożyłem parę podręczników harcerskich i zacząłem pierwszą w mem życiu gawędę harcerską, mówiąc do żółtodziobów, którzy nigdy o harcerstwie nie słyszeli.

Tu dopiero przekonałem się, że trzeba mieć cierpliwości i panowania nad sobą. Bo wyobraźcie sobie drubowie, co się ze mną dziać musiał, gdy ci »wisielcy« zamiast brać do serca to, co im powiedziałem i słuchać w skupieniu ducha, traktowali to sobie zwyczajnie, lekko i powierzchownie.

Opowiadałem, czytałem, dawałem przykłady, jednym słowem wysilałem się jak mogłem, a ci sobie z tego nic. Jeden udawał, że słucha, drugiego wcale to nie zajmowało, a inni jeszcze zamiast cicho siedzieć, zaczęli figle płatać. — Mogłoby to mnie z równowagi wyprowadzić, ale, że »harcerz jest zawsze pogodny« więc nie mogłem się gniewać. — Wierzyłem, że jakaś odmiana nastąpić musi.

Zaprzestałem więc mówić i zaproponowałem chłopcom przechadzkę po lesie. — Nastrój zmienił się natychmiast. Chłopcy z ogromną radością i entuzjazmem zgodzili się na mój projekt. A ja »Eureka« powiedziałem sobie prawie na głos.

W lesie dopiero mogłem się przekonać, czego rzeczywiście młodzież pragnie, za czem przepada, do czego odrycha.

Nigdy nie poznamy dodatnich stron i ujemnych charakteru tak, jak w grze, w pracy. Chłopców upartych jest o wiele łatwiej zmusić do posłuszeństwa w czasie gry, niż w najlepszej gawędzie.

Najpierw zabraliśmy się do budowania szalasu. Nie potrzeba było do pracy zachęcać, bo sprzeczki o »faki« były najlepszym dowodem zainteresowania i gorliwości. — Stanął wkońcu szalaski, który miał być naszym tymczasowym lokalem. — Nie utrzymał się jednak długo, bo już na drugi dzień runął, ulegając sile krowich rogów.

Zagraliśmy następnie kilka gier, z najlepszym powodzeniem. Wkońcu rozpaliliśmy duże ognisko i późnym wieczorem zakończyłem pierwszą zbiórkę harcerską na mojej kolonji.

Chłopcy rozeszli się zadowoleni i dumni, że należą do »jakiejs tam organizacji« do Harcerstwa.

Ja może byłem najbardziej uszczęśliwiony, bo spełnił się mój wielki ideał, jedno wielkie pragnienie, które wtedy wreszcie ukoronowałem czynem.

Ta pierwsza zbiórka, to nowy okres w moim życiu. Odkryłem nowy świat, na którym widzę ogromne pole do pracy i walki.



Harcerze.

Stach i Wacek bawili się w pobliżu Malletu na pastwisku przy drodze. Wprawiali się w podbijaniu piłki nożnej i wesołymi okrzykami witali każde trafne uderzenie.

Podczas tej zabawy po drodze włóki się wolno wózek, napelnięty kawałkami drzewa i sękami pinjorowemi. Dziesięcioletni Józio, syn biednej wdowy, która praniem zarabiała na życie, z trudem ciągnął wózek o drewnianych kółkach, a o rok młodsza Hela pomagała braciszкови, jak mogła, popychając z tyłu chociaż pot zalewał jej oczy i jasne włoski spadały na spoconą twarzyczkę.

— Józek, chodź do nas! — zawołał Stach. — Postawimy z kijów bramkę i ty będziesz bramkarzem!

Józkowi zaświeciły się oczy z radości na jedną chwilę, lecz zaraz obejrzał się na wózek i odrzekł:

— Muszę mamie nazwozić drzewa na opał. Moja mama ciężko pracuje, żeby starczyło na nasze wyżywienie, ubranie, książki i zeszyty do szkoły, więc ja powinienem jej pomagać po lekcjach.

— Bawcie się druhowie. — ja z Helą jadę do domu!

Józio zaprzął się do wózka i przy pomocy Helenki pociągnął go pod górkę, nie oglądając się na kolegów szkolnych.

Stach podbił piłkę wysoko, lecz Wacek popatrzył na ciężką pracę biednych dzieci i krzyknął do Stacha:

— Pomogę Józkowi zawieźć drzewo, potem zabawimy się! — To mówiąc pobiegł i tak dobrze zastąpił Helę w popychaniu skrzypiącego wózka, że wkrótce znaleźli się na wierzchołku wzgórza, skąd było widać cały Mallet malowniczo rozłożony między pagórkami.

Dobry przykład zrobił swoje i Stach również nadbiegł do pomocy. Chłopcy posadzili zmęczoną Helenkę na drzewie i szybko przybyli do domu, śpiewając po drodze wesołe piosenki.

Matka Józka serdecznie podziękowała młodym harcerzom.

Rozochocony Wacek zabrał się do rąbania drzewa i sęków, a Józek i Stach zreperowali jedno z kół od wózka, które już się rozlażyło. Po chwili uśmiechnięta Helcia przyniosła kolegom pieczonych owoców pinjorowych.

Dzieci, zajądając pinjory, wpatrywały się w chmury, ozłoczone ostatnimi promieniami zachodzącego słońca, poczem wesoło i zgodnie zaśpiewali: »Czuwaj drużyno harcerzy«.

Purpurowa smuga na zachodzie pokryła horyzont i opromieniła grupkę harcerzy, gdy ochoczo śpiewali:

»Druh karabin cięży w dłoni,
Bagnet o łopatkę dzwoni,

A przy boku ładownica
I manierka powiernica.
Baz, dwa — raz, dwa, trzy!

Helenka przyłączyła się do grona śpiewaków. Chociaż miała zaledwie 9 lat, była już harcerką. Miała ładny głos, to też po ukończeniu żołnierskiej piosenki zanuciła cichutko swoją ulubioną... »Białe róże«...

Chłopcy podchwycili i popłynęła w dal cudna pieśń o Jasieńku, który zginął gdzieś pod Lwowem w obronie Ojczyzny, a na mogile jego rośnie białej róży kwiat. K. J.



RUCH HARCERSKI W BRAZYLJI.

W Tayó powstała w ostatnich czasach drużyna harcerska im. Józefa Piłsudskiego, pod kierownictwem miejscowego nauczyciela p. Wacława Topławskiego. Drużyna liczy 58 członków i dzieli się na dwie sekcje — męską — 32 chłopców i żeńską — 26 dziewcząt.

W uroczystym obchodzie Konstytucji 3go Maja drużyna w komplecie i ze sztandarami maszerowała przez kolonię, śpiewając pieśni narodowe.

Wszyscy teraz sprawują się po harcersku, pilnie się uczą, przestrzegają porządku i czystości i prenumerują 4 egzemplarze »Naszej Szkołki«.

* * *

W São Feliciano (Rio Grande do Sul) organizuje drużynę harcerską, p. Józef Bieszczad, nauczyciel tamtejszego kolegium.

* * *

W Marechal Mallet istnieje drużyna im. Zawiszy Czarnego, pod kierunkiem druha Stefana Sachy. Drużyna jest podzielona na 3 zastępy — 2 męskie i jeden żeński. Trzeba przyznać, że malletańczycy pracują z prawdziwym zapalem i z dnia na dzień potęgują swoje sprawności harcerskie. Wkrótce zamierzają urządzić dłuższy obóz.

* * *

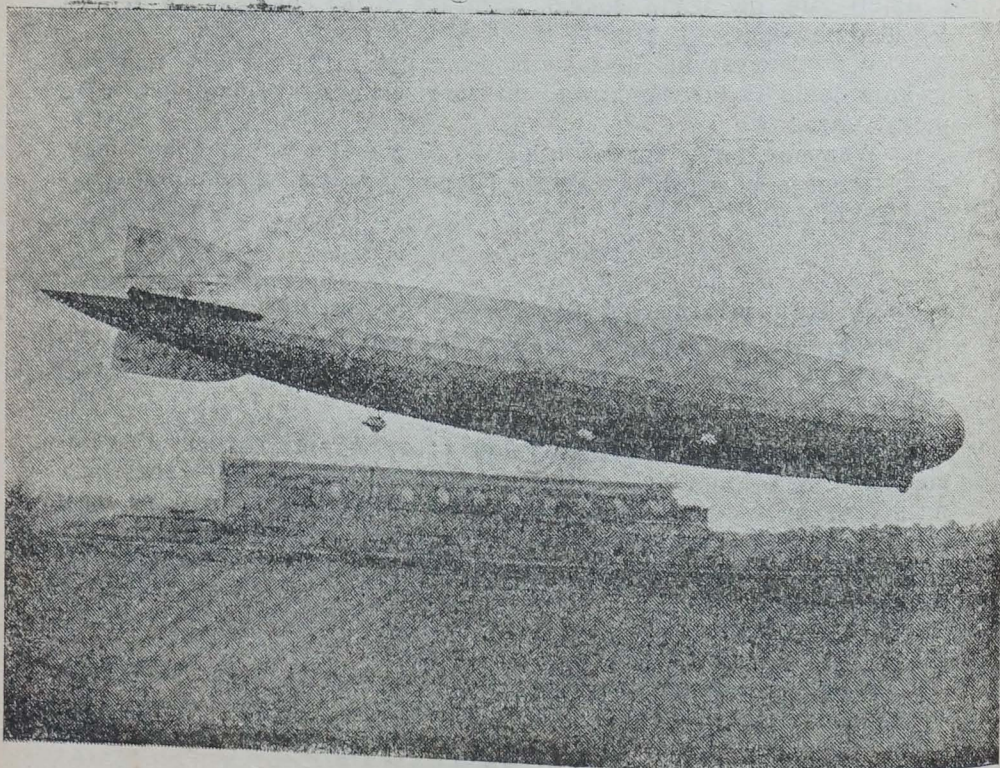
Drużyna kurytybska urządzi 6-dniowy obóz wędrowny na kolonji Affonso Penna, który będzie trwał od 24 do 30 czerwca.



Tęsknota za Ojczyzną.

O, wy polskie łąny, bez granic, bez końca.
 Wyzłoczone, wysrebrzone promieniami słońca.
 O, wy polskie drzewa, brzozy i jawory,
 Czyż się z wami mogą równać palmy lub pinjory?
 O, wy rozkwiecione polskie barwne łąki,
 Waszą piękność tylko mogą wydzwonić skowronki.
 O, wy polskie strugi, jeziora i rzeki...
 Wywołuję dziś wasz urok, zamknawszy powieki.
 O, wy polskie zioła, kwiatuszki i kwiatki,
 Z których w maju wiją wianki dla Najświętszej Matki.
 O, wy polskie ptaki, zięby i skowronki...
 Pełne waszych piosnek były wszystkie letnie dzionki.
 O, wy wszystkie cztery polskie pory roku,
 Dzisiaj urok wasz wspominam z żalem i z łza w oku.
 O, Ty Polsko cała! ten Ciebie oceni,
 Kto Cię, choćby na czas krótki na obczyście zmieni.

Wł. R a d o m s k i.



•ZEPPELIN.

Zeppelin.

W maju b. r. przyleciał do Rio de Janeiro z Europy sterowiec „Graff Zeppelin”. Jak on wygląda widzicie na fotografii. Takie olbrzymie cygaro, 237 metrów długie, 30 m. średnicy, zrobione całe z alluminjum, zawierające w sobie 105.000 metrów sześciennych gazów lekkich, a pod spodem kabiny na pomieszczenie pasażerów. Sterowiec ma 5 motorów o sile 2650 koni, może pędzić pod chmurami z szybkością przeszło 100 km. na godzinę. Może pomieścić 20 pasażerów, prócz załogi, pozatem może zabrać pocztę i pakunki ogólnej wagi 15.000 kilogramów.

Jest to ten sam „Zeppelin”, który w roku 1929 obleciał około świata.

„Zeppelin” dotychczas bada możliwości stałej komunikacji powietrznej między Europą i Ameryką.

Jak waleczny książę Poniatowski w bitwie pod Lipskiem utonął w rzece Elsterze.

W czasie wojen napoleońskich wstawił się wielce książę Józef Poniatowski. Cesarz francuski, Napoleon, tak go cenił za męstwo i odwagę, że zrobił go marszałkiem, czyli jednym z najwyższych generałów cesarstwa francuskiego.

W roku 1809 wybuchła wojna między cesarzem austriackim a Napoleonem.

Austrjacy wpadli zaraz do Księstwa Warszawskiego, jako do przyjaznego kraju Napoleonowi, ale książę Józef odparł ich, a potem, wszedłszy do Galicji, wiele miast pozdobywał i prawie połowę zabranych krajów odebrał i połączył je z Księstwem Warszawskim.

Potem Napoleon wplątał się w wojnę z Rosją i postanowił ją zawojować. Otóż posłuchajcie, co się stało.

Napoleon ścigał wojska rosyjskie aż do samej Moskwy. Tam francuzi chcieli przebyć zimę, lecz rosjanie podpalili stolicę, która jednym płomieniem zagorzała, to też francuzi musieli uciekać.

Nadeszła okropna zima 1812 roku. Francuzi wygłodnieli, wynędzniali, źle okryci, w złem obuwiu, szli przez ogromne pola, śniegiem pokryte, a dokoła uwijały się chmary jazdy rosyjskiej. — Tyśiącami ginął żołnierz francuski od mrozu i głodu.

Nakoniec spotkali rzekę Berezynę. Tu wszystko się tłoczy, jedni drugich spychają w wodę, koła armat druzgoczą, konie tratują ludzi; wtem jeden z mostów załamuje się i pochłania tysiącami ofiary. Książę Józef Poniatowski z polakami zastaniał ten odwrót i ocalił od zguby resztki wojsk Napoleona.

Kiedy Napoleon poniósł tak srogą klęskę w Rosji, zaraz wszyscy obrócili się przeciwko niemu. Cesarz austriacki wydał mu woj-

nę i książęta niemieccy, których Napoleon porobił królami, wojska przeciw niemu wyprowadzili, jedni tylko polacy wytrwali mu w wierności do końca, chociaż im żadnego dobrodziejstwa nie wyświadczył.

W 1813 roku rozegrała się straszliwa trzydniowa bitwa pod Lipskiem, gdzie Napoleon 80 tysięcy wojska swego utracił i zupełnie ją przegrał.

Kiedy francuzi dnia trzeciego ustępowali z pola bitwy, Napoleon wydał rozkaz księciu Józefowi Poniatowskiemu, żeby zastąpił resztki francuzów od nieprzyjaciół. Książę na czele garstki polaków walczył jak lew, a gdy dowiedział się że już wojska francuskie są bezpieczne, zebrał swoich i chciał cofnąć się z pola bitwy. Aby połączyć się z francuzami, trzeba było przepłynąć przez rzekę Elstere. Część wojska przeszła, książę już był niedaleko, kiedy most wyleciał w powietrze, wtedy książę Józef poleciwszy Bogu polaków, z wysokiego brzegu skoczył w nurt głęboki. Ale niestety, woda była głęboka i płynęła bystro, książę Józef przepłynąć nie mógł i utonął.

Ciało jego w kilka dopiero dni wydobyto z rzeki i przewieziono do Krakowa, gdzie złożono trumnę ze zwłokami w grobach królów polskich, obok zwłok króla Jana III. na zamku krakowskim.

Po upadku Napoleona wojsko polskie wróciło do kraju, a zebrani na radę różni monarchowie, Księstwo Warszawskie skasowali, część jego oddali prusakom, a z reszty ustanowiono Królestwo Polskie, pod panowaniem Rosji.

Teraz mamy już wolną Polskę i z dumą wspominamy, jak to książę Poniatowski walczył za Francję, która jest przyjaciółką Polski.

Przerobił dla Naszej Szkołki

W. Gr. Kowalski.



Było to podczas Wystawy Krajowej w Poznaniu.

Felek Grumuza, chciwie oglądał i z rozkoszą włóczył się po pawilonach.

Wieczorem biła luna od miasta — a Felkowi świeciły oczy.

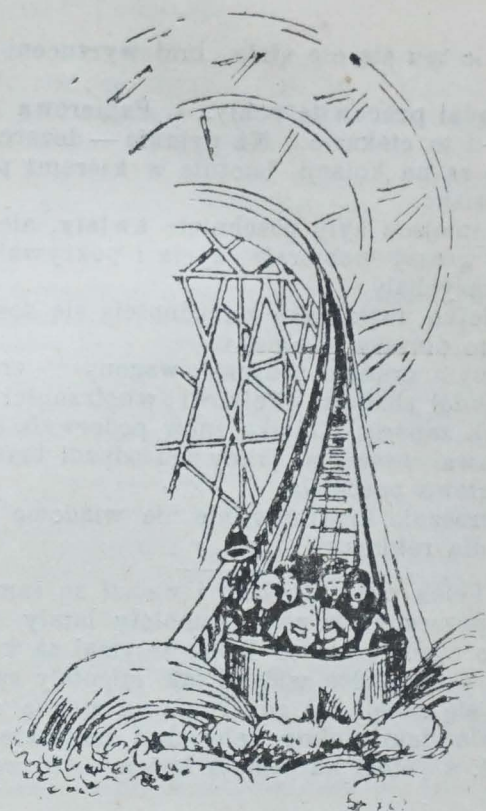
— Kiedym już tu — powtarzał — muszę wszystko zobaczyć. W głowie mu się kręciło, w uszach huczało — czuł, że mu w mózgu powstaje nowe miasto.

Przystawał, kręcił głową, mówiąc — sliczny ten świat, oj wielki, a człowiek taki małutki, słaby i tyle zmysła.

— Co tu rozmaitości! Ciężkie pawilony z maszynami, samolotami, lokomotywami najnowsze narzędzia rolnicze, dywany, meble, barwne galerje obrazów, sztucznie hodowane palmy, wodotryski i tysiące innych, których nie umiał nazwać.

Aby zobaczyć tę wystawę, ludzie przyjeżdżali z całego świata.

Byli i Norwegowie, którzy podczas południa wchodzili pod bi-



jące fontanny — rozumiesz, że w ubraniu. Byli mieszkańcy z Konga, z Afryki, że w największy upał trzęśli się i wystawiali do słońca, myśląc o powrocie do cieplejszych stron.

Pewnego wieczora Felek dostał się do Wesołego Miasteczka.

W głównej wejściowej bramie wisiał olbrzymi półksiężyc, a na nim siedział pan Twardowski w tęgich cholewach, a wasy podobne miał do wymłóconych snopów.

— Nawet stamtąd przyjechali — pomyślał.

W Wesołym Miasteczku huczało. Gwar, loskot i świsty trwały bez przerwy. Na ulicach tłoczno.

Niemalozdziwił się Felek, gdy zobaczył murzynów, specjalnie sprowadzonych na pokaz. Gdyby to nie na wystawie, drapnęłyby napewno.

— Świetne ogłoszenia skakały po dachach, kryły się, uciekały i znów wracały. W innych miejscach zachęcano do jazdy na samolotach, podróży koleją tatrzańską, przygód na djabelskim kole, tańca na drabinach, jazdy dryndulką, pociągana przez pchły, kąpieli pod falami wodospadu Niagary i t. p.

Felka wszędzie kusila niepowstrzymana ciekawość. Wlaził na djabelskie koło. Koło ruszyło, rzuciło go między ławki pluszowe —

miękkie były, nie mu się nie stało, inni wyrzuceni leżeli kupą na podłodze

Felek oglądał pracowite pchły. — Papierowa dryndulka, chomonta z nici — i to ciekawe... Na pytania — dozorca się tłumaczył, że zwierzęta te są na kolacji. Istotnie w którymś przedziale złośliwie skomlało psisko.

W innym miejscu były poschnięte kwiaty, ale po wrzuceniu do wazonka 50 groszy nabierały życia i pokrywały się zielenią — poczem znów zasychały.

Na kolejkę tatrzańską z trudnością się dostał. Przy kasie dorastał coraz to dłuższy „ogonek“.

Elektrycznym prądem pędzone wagony — zrazu sunęły po równi potem wdół zleciały. Felkowi wnętrzości do gardła się wtoczyły i dech zaparyły. Kolejka znów poderwała się prosto w górę, Felek doznawał wrażenia, jakoby mu odpadł brzuch wraz z nogami, a tylko głowa pozostała.

Kobiety strasznie krzyczały, ale nie wiadomo czy ze strachu, z radości, czy dla reklamy.

Wreszcie Felek pozwolił sobie i wsiadł na samolot.

Karuzelę puszczono w ruch. Samoloty latały wkoło, wylatywały w górę, to opadały wdół. Felek trzymał za koło. W głowie mu się kręciło, a z podeszwy widział jak migotały światła Poznania. Żałował, że dał się skusić, bo gdy runie na ziemię, zabije się i nie będzie go, a świat taki piękny, żeby choć wszystkie ciekawości wystawy zobaczyć, a potem na samym końcu — to wtedy niech się co chce stanie.

Karuzela stanęła. Felek był spocony. Miasto tańczyło, a on stał po środku i słabo mu było na wąpiach.

Zapragnął i ochłody, wykupił bilet do Niagary. Wehodzi po ruchomych schodach, podrywają mu się kolana i płaczą nogi, schody wynoszą go do góry. Znalazł się na drugim piętrze. Co stanie na podłodze, usuwają się deski, ważą się i zostają dziury.

Z najeżonymi włosami doszedł do ściany. Stróż otworzył drzwi i — proszę — powiedział. Felek wszedł. Pokoik był wąski, malutki, tak mały, że mógł się zmieścić tylko jeden fotelik i on sam.

Grymuza usiadł, odetchnął — tu to warto zap... — Wtem pochylilo się krzesło, otworzyła się ściana i Felek wypadł z pokoju. Wyciągnął ręce, ale niczego nie mógł się chwycić. W dole płynęła woda, zielonym pasem, piętrzona falami. Felkowi przemknęła szybka myśl po głowie, że maszyna się popsuła i nieszczęśliwie skończy. Takim głosem wrzasnął, że gdyby naprawdę powypadały koła z osi, powróciłyby na miejsca. Tymczasem spadł na płócienny zielony pas i bujany po jego wypukłościach z nogami do góry zjechał na dół.

Pod koniec jazdy spostrzegł, że żyje. Z radości wyrzucił kapelusze w górę.

Widzowie śmiali się do łez, wiedząc o tem, że śmiech to najprostsza droga do zdrowia.

R o m a n .

LISTY REDAKCJI:

Tym wszystkim czytelnikom, którzy mają obecnie wakacje, »Nasza Szkołka« życzy wesołej zabawy. Nabierzcie dużo sił i ochoty do dalszej nauki i postarajcie się, by »Nasza Szkołka« od nowego roku szkolnego, znalazła się w każdej ręce umiającego czytać kolegi.

DO FRANKA RÓZYCKIEGO w Rio Corrente. Wróblom jest bardzo źle w Polsce, gdy śniegu dużo napada, a mróz wodę ścina, ale tu u nas — to i w zimie mu dobrze — nieprawdaż?

DO PAULINKI MAZUR w Vera Guarany. Fotografję przyslij. Jeśli będzie wyrażna — umieścimy.

DO RYSIA HAWIŃSKIEGO w São Paulo. Pewno mało pamiętasz swoje drogie miasto Lwów, bo byłeś malutki, kiedy przyjechałeś. Pragnienie Twoje napewno się spełni, jak bardzo chcesz. Kiedy wyrośniesz — to wrócisz do Lwowa. Pisz często, bo Twoje listki sprawiają wielką przyjemność »Naszej Szkołce«.

DO MIETKA OSIŃSKIEGO w Iraty. Kiedy przyjedziesz do Kurytyby?

DO DZIECI SZKOŁY SIÓSTR w Treze de Maio. »Nasza Szkołka« była wysłana. Wysyłamy powtórnie. Rozwiązania musicie samodzielnie robić i samodzielnie pisać do »Naszej Szkołki«, a nie tak, jak obecnie jeden list z rozwiązaniami, a pod tem Siostra podpisuje wszystkie nazwiska.

DO KLARY KLASY w Orleansie. Czy dużo dzieci w Twojej szkole będzie prenumerowało »Naszą Szkołkę«.

DO UCZENNIC I UCZNIÓW w Dourado. »Nasza Szkołka« bardzo żałuje że, nie była na wszystkich Waszych uroczystościach. Dzisiaj wysyłamy nasionka. Nasienie maku — z Polski.

DO STEFCI CIERPIŃSKIEJ w Rio Bonito. Jak się miewa Twoja siostra Helcia, niech też napisze do »Naszej Szkołki«.

DO LIGUSI GRUSZCZYŃSKIEJ w Porto Alegre. Danusia bardzo dziękuje Ci za kolorową Łowiczanekę. Bardzo jej się podobała i nawzajem posyła Ci fotografję i kilka rysuneków. Oczywiście nie są one takie, jak Twoje, bo Danusia ma dopiero 3 latka, ale chodzi już do przedszkola, umie dużo bajeczek, wierszyków i różnych piosenek. Danusia często teraz powtarza — musię pojechać do tej Ligusi, żeby ją zobaczyć. Był w Redakcji p. Kowalski, kiedy przyszedł od Ciebie list i prosił by Cię pozdrowić.

ZA MIŁE LIŚCIKI SERDECZNE POZDROWIENIA — DZIĘKUJEMY I PRZESYŁAMY POZDROWIENIA:

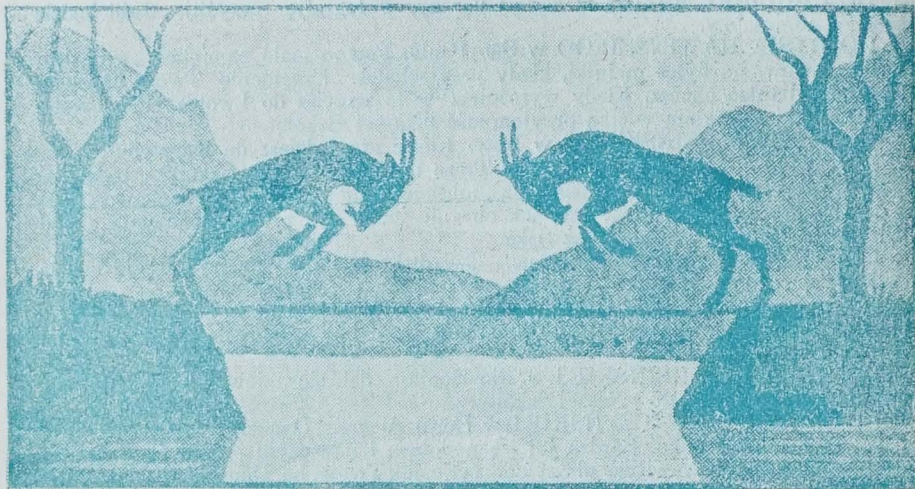
Joasi Chojnackiej z Vera Guarany, Jankowi Toporowskiemu z Tres Barras, Tadziewi Pankowi z Fluvio polis, Zosi Furmanównie z Pavao, Szczepankowi Nizio z Vera Guarany, Jani Zagińskiej, Bolkowi Ostrowskiemu, Józi Boroń, Wikci Kędzierskiej i Bolkowi Kędzierskiemu z kol. Iraty (Rozwiązania z N. 3-go przestaliście zapóźnio), Rózi Kędzierskiej z kol. Iraty, Marysi Kawie, Kasi Kotowicz, Ani Dybaś, Wikci Stańczyk, Ewie Stanisławskiej, Marysi Kotowicz, Michałkowi Stańczykowi, Wojtusiu Wencow, Michałkowi Kawie, Józkowi Królowi i Bronkowi Stańczykowi z Rodeio, Ksawer, ce Zuchowskiej, Matyldzie Barańskiej, Adeli Kurowskiej, Edkowi Lipiarskiemu, Józce Zuchowskiej, Matyldzie Barańskiej, Bronkowi Stańczykowi z Rio Grande (jak się kowi Lipiarskiemu, Felkowi Lempkowi, Ludwikowi Barskiemu z Rio Grande (jak się Wam udało przedstawienie — napiszcie), Irce Szostakowskiej i Marysi Kuczyńskiej z São Feliciano, Trzeciej klasie szkoły w Capoeira Grande, Mietkowi Górskiemu z »Naszą Szkołką« wysyłamy), Gertrudzie Szymczyk, Felkowi Górskiemu, Bronkowi Rybińskiemu, Jani Wiatrowskiej, Jankowi Górskiemu i Cecylji Leś z Pimheral de Ciri, Dzieciom szkoły polskiej w Rio Paulo, Marysi Kłosińskiej z Guajuviry, Geni ma, Dzieciom szkoły polskiej w Rio Paulo, Marysi Kłosińskiej i Emilci Ziółkow-Chróścielskiej i Nastusi Puchalakiej z Mateusza, Cecylce Celińskiej i Emilci Ziółkow-Chróścielskiej z Guajuviry (za zaproszenie dziękuje, ale nie mogłem przyjechać), Helence skiej w Guajuviry (za zaproszenie dziękuje, ale nie mogłem przyjechać), Zigmusiu Wierz-Domańskiej z Agua Parada, Tadziewi Taborowi z Sta Leopoldiny, Zigmusiu Wierz-Domańskiej z Cruz Machado, Piotrusiu Knautowi z Rio Vinagre, Zdzisiowi Sasiakow, i z Cachoeiry i wszystkim dzieciom, których nazwiska w tym numerze nie zmieściły się.

W przyszłym numerze poświęcimy więcej miejsca na odpowiedzi.





ROZRYWKI UMYSŁOWE



(Za napisanie opowiadania o tych dwóch kózkach 5 punktów.)

LAMIGŁÓWKA. (Za rozwiązanie 3 punkty).

Zamiast kropek wpisać litery, żeby pierwsze, czytane z góry na dół, dały nazwę latającego cygara.

1) Spółgłoska, 2) Okres czasu, 3) Kraj w Południowej Ameryce, 4) Na morzu, gdy wzburzone, 5) Starożytny kraj, 6) Nazwa miesiąca, 7) Imię żeńskie, 8) Spółgłoska.

SZARADA. (Za rozwiązanie 3 punkty).

Trzecią i pierwszą z mlekiem zajadacie,
Trzecią i drugą też zjeść można,
Całość to kwiatek, którego nie znacie.
Którego w Tatrach szukacie z ostrożną.

ZAGADKA. (Za rozwiązanie 1 punkt).

Patrzcie, patrzcie w górę dzieci,
Jakiś ptak tu z krzykiem leci.
Siła jego podziw budzi,
Może unieść wielu ludzi.

Prenumerata roczna »Naszej Szkołki« wynosi 50000.
Prenumeratory »Naszej Szkoły« otrzymują »Naszą Szkołkę«
bezpłatnie.

Redaktor: Konstanty Lech, Curityba, Caixa postal 412.
Wydawca: Zrzeszenie Nauczycielstwa Szkół Polskich w Brazylii.